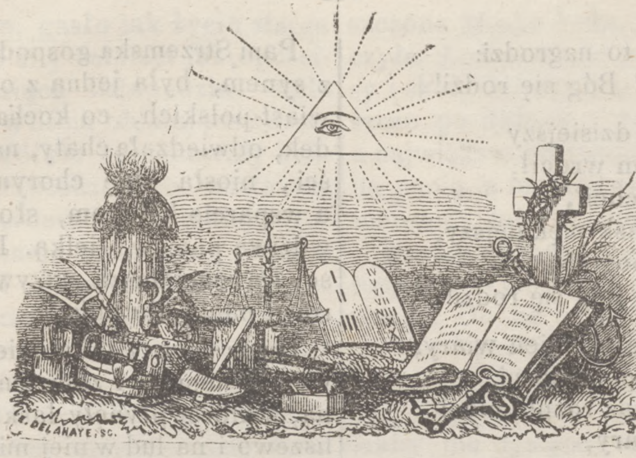
ROK PIĄTY.

№ 52.

WARSZAWA

d. 11 (23) grudnia

1860.



REDAKCYA CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.
4ta Adwentu

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Do miłosiernych uczynków niech nam każdy czas służy, a chrześcijańskiej miłości niech nam żadna trudność nie przeszkadza. (*Czytania Bractwa Miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę*).

Boże Narodzenie.

Nowa dzisiaj wchodzi zorza,
Jakąż jasne jej promienie
Budzą rozkosz i zdziwienie!
Widno lśni z niej łaska Boża,
I nad ziemią blask rozwodzi:
Bóg się rodzi! Bóg się rodzi!

Bóg się rodzi: radość wszędzie,
Ziemia z ludem wokół śpiewa,
W serca nowe życie wlewa,
Bóg się rodzi brzmi w kolędzie,
I tęsknotę w nas łagodzi:
Bóg się rodzi! Bóg się rodzi!

Szczęście tworzy śpiew ten w duszy,
Przedwiecznego ziszcza słowo,
Wzmacnia wiarę w nas nanowo;
Jak maj rosą w dnie posuszy,
I żar zwątpień w sercach chłodzi,
Bóg się rodzi! Bóg się rodzi!

Mędrcom w nocy gwiazda świeci,
Gdzie się zrodził, wiedzie drogą
I objawia radość błogą
Mędrcom, panom i dla kmieci,
Że niedolę ich nagrodzi:
Bóg się rodzi! Bóg się rodzi!

Nie w pałacach, ani w złocie,
Lecz ubogo i w stajence,
Żywszy dzisiaj blask w jutrzence,
Bo w miłości, wierze, cnocie
Nasz Zbawiciel do nas schodzi:
Bóg się rodzi! Bóg się rodzi!

Od miast do wsi, z dworków w chaty,
Wieść mknie jakby błyskawica,
Bóg uchyla z niebios lica,
I przegląda wszystkie światy,
Bo świat każdy go obchodzi:
Bóg się rodzi! Bóg się rodzi!

Wieczność woda to płynąca,
Czas mknie w świecie coraz skorzej,
Tworzy różnie, lepiej, gorzej,
Jakby w marcu dnie miesiąca,

Niech nam od dziś to nagrodzi:
Bóg się rodzi! Bóg się rodzi!

Oby dla nas dzień dzisiejszy
Co stracone, to nam wrócił,
I z gnusności nas ocucił,
Ubrał słońce w blask piękniejszy,
Co nam życie rozpogodzi:
Bóg się rodzi! Bóg się rodzi!

Gdy w nas zsłabnie promień wiary,
Będziem przez złe pognębieni,
Więc niech się w nas rozpłomieni
Serce chętne do ofiary,
Ducha z grzechów oswobodzi:
Bóg się rodzi! Bóg się rodzi!

Jak dżdżu kropla w upragnioną
Ziemię wsiąka i odświeża,
Jakby tęcza nam przymierza,
Tak nadzieja w każde łono,
W każde serce od dziś wchodzi:
Bóg się rodzi! Bóg się rodzi!

Więc tę chwilę wysławiajmy,
Niech nam ciągle w sercu płonie,
I w dniach życia i przy skonie
Zgodnym chórem cześć śpiewajmy,
Niech po świecie się rozchodzi:
Bóg się rodzi! Bóg się rodzi!

Krzysztof Strzemski.

(powieść)

—

Za Zygmunta IIIgo króla Polskiego, któremu po smierci syn jego Władysław IV pomnik z marmuru chęcińskiego w Warszawie naprzeciw zamku wystawił, powstały okropne wojny z tatarami i trwały prawie do końca roku 1621. W tym to czasie nie upłynął ani jeden dzień, w którymby straszny ogień nie odbił się krwawą łuną pożaru na niebie.

W owych to czasach żył Krzysztof Strzemski; miał on niewielką wioskę w dawnej ziemi Krakowskiej Suliszewo zwaną. Chociaż w młodocianym wieku osierocony był śmiercią ojca, gospodarował jednak w swej wiosce wzorowo, poddanych kmieci kochał jak rodzinę, obchodził się z nimi po bratersku, utrzymując przy sobie matkę wdowę już w bardzo podeszłym wieku.

Pani Strzemska gospodarująca jeszcze wraz z synem, była jedną z owych zacnych niewiast polskich, co kochajac wierny swój ludek, odwiedzała chaty, nakłaniała do czystości, niosła ulgę chorym, pomoc starcom, a wsparcie kalekom, słowem była ona prawdziwą pocieszycielką. Lgnęli do niej wszyscy sercem i duszą, nazywając ją matką i wzorową panią dla ludu.

Dwór więc z taką dziedziczką i jej uczciwym synem, był zbawienną ucieczką, gościną, z której płynęły łaski na całą wioskę Suliszewo i na lud w niej mieszkający; a chociaż ta matka wielce miłowała swojego syna, mając jedyną w nim podporę i przytułek na resztę życia, kiedy jednak kraj wymagał obrońców przeciwko napadom tatarskim, i kiedy kto tylko mocny był broń podźwignąć, nie zasypiał jak to mówią gruszek w popiele, nie czekał, aby mu przysłano wrzeciono w zajęczą skórkę obszyte, jako godło zniewieściałości, lecz chwytał oręż do ręki, biegł, gromił tatarów, aby uwolnić kraj od ich ucisku; wtedy i nasz Krzysztof Strzemski otrzymał od swej matki błogosławieństwo. Dostał na drogę szkaplerz i krzyżyk, obcierany o obraz na Jasnej Górze, jako relikwije, coby go zasłaniały od pocisków śmierci na wojnie, i zaciągnął się w szeregi rycerstwa polskiego pod chorągiew najsławniejszego w owych czasach hetmana Żołkiewskiego.

Jakie Krzysztof Strzemski napotykał przygody na wojnie, o tych nie będę wam mówił, lecz tylko jedno jego najpiękniejsze i najzacniejsze uczucie serca dla przykładu winienem opowiedzieć.

—

Historya naucza, że tatarzy, co w owych czasach po kraju polskim plądrowali, byli podobni do strasznych rabusiów, którzy nic nie mając w sercu świętego, szarpali nasz kraj z rozlicznych stron, niszczyli go krwawą pożogą i najkosztowniejsze skarby unosili. Nie było miejsca, gdzieby ich ręka nie obryzgała się krwią niewinnych ofiar, nie było strony, gdzieby ich stopa nie zostawiła śladu klęsk, ognia i rabunku.

Dzień się miał już ku schyłkowi, słońce kryjąc się w sinawe obłoki, rozsiewało jeszcze w gasnącym odblasku jakby krwawą i ponu-

rą żałobę nad krajem, gasło jak życie starca schorzałego, którego siły całkiem już opuściły. Było to w miesiącu listopadzie: mgła przyśpieszyła mrok, a liście oblatujące z drzewa, powiędniałe i zżółkłe przejmowały każdego jakimś niewypowiedzianym smutkiem, tęsknotą i boleścią serdeczną. W takiej porze już po kilkomiesięcznej, nieustannej prawie wojaczcze powracał Krzystof Strzemski aż zpod Cecory. Straszna i zacięta stoczyła się tam bitwa z tatarami i z turkami, bo nawet sam wódz Żółkiewski w niej poległ.

Strzemski okryty ranami ledwie zabliźnionemi śpieszył do domu spocząć przy łonie tęskniącej za nim matki wśród wiernego mu ludu, oczekującego w każdej chwili jego powrotu aby odżyć, i nabrać sił do nowej wyprawy.

Nie przewidywał powracający wojak, jakie go nieszczęście spotka, smutne tylko przeczucia budziły się w duszy; czuł, że mu srodze coś serce przygniata, i mimowoli drżały źrenice od cisnących się łez, a do ucha mu szeptał niby Anioł Stróż: Śpiesz się, oj śpiesz się, a ratuj!

Pędził Krzysztof Strzemski co tylko siły miały wynajęte koniki, aby przekonać się, czy złowieszcze jakieś przeczucie nie zawodzi go. Nic tak nie przyśpiesza nam bicia serca, jak powrót do miejsca, gdzie się urodziło i wzrosło, gdzie się wszystko wiąże z miłością drogich nam osób.

Tego doznawał Krzysztof Strzemski: im bliżej dojeżdżał swej wioski Suliszewo, tem gwałtowniej serce mu biło. Już dostrzegł dworek biały, przy nim naokół odwieczne lipy, pod któremi jeszcze może pra-pradziad spoczywał; chatki kmiotów, pośród gęstych sadów owocowych wyglądały jak rozrucone gniazdka ptasze. Już wjechał na podwórko żywym płotem okolone: zeskakuje w ślicznym mundurze chorążego, którego się za odwagę dosłużył, chce wejść szybko, niespodzianie powitać, ucałować i przycisnąć do serca wszystkich których tam zastanie, aż tu wychodzi stary karbowy, który jeszcze u jego dziadka służył, srodze poraniony i z płaczem witając go, powiada:

— Paniczu! miły nam panie! zapóźnoś przybył, bo wielkie nieszczęścia nas dotknęły: wpadła tu straszna banda tatarów, jakby spuszczona klęska boża, wieś zrabowała, zniszczyła. Ludzie z niej jedni pouciekali aż w lasy i skały olsztyńskie, drudzy chowają się jeszcze po dołach i gdziekolwiek kto może, a największe nieszczęście, że naszą ukochaną panią, a matkę twoję, która nie zdążyła się schronić, tatarzy porwali i uwieźli z sobą.

Na tak okropną wiadomość krzyk wielkiej rozpaczy wyleciał z piersi Krzystofa Strzemskiego. On, co umiał nagą pierś wystawić na pociski i strzały tatarom i biegł w najstraszliwszy bój jakby na gody, pod tyle bolesną wiadomością uległ takiemu osłabieniu, jakby mu tysiące mieczów w serce naraz wbito. Uczucie miłości dla matki silniejsze było w nim, aniżeli odwaga żołnierza. Nie wchodzi on już do dworu, lecz napowrót wsiada na wózek, aby wyszukać matki żywej, czy umarłej, choćby na końcu świata!

Nie pomnąc, że sam ranny, strudzony długą podróżą, nie traci ani chwili czasu, tylko goni w ślad za tatarami, aby prędzej dopędzić tę straszną czeredę nieprzyjaciół i wyrwać z ich drapieżnych szponów nieszczęśliwą matkę.

Lecz daremne były jego usiłowania: przejechawszy, to przeszedłszy piechotą strony Krakowskie, Mazowieckie, Lubelskie, Wołyńskie, w ostatnim dopiero taborze tatarskim zaledwie mógł się dowiedzieć, że jego matka porwana, już odprowadzoną została aż do Krymu siedziby tatarskiej.

Na tę wieść nie pyta się, co go tam spotkać może, ale dąży śmiało do Krymu. Znużony podróżą, wycieńczony z sił rozjątrzeniem ran niezupełnie zabliźnionych, przyczołgał się prawie na miejsce, i stanąwszy odważnie przed władcą tatarskim, zawołał:

— Rozkażcie mnie zabić, ale wypuście matkę.

Po długich targach, zgodziła się wreszcie władza tatarska na oddanie mu matki, ale za okup złota tyle funtów ciężkości mający, ile ona funtów zaważy.

Ubłagawszy tatarów, aby mu wolno było choćby pod najostrzejszą ich strażą doglądać chorej matki, oświadczył przez tłumacza, że posłał do Polski po tyle złota, ile mu na okup matki potrzeba. Rozłakomieni tą obietnicą, dozwolili mu widzieć się z matką i być przy niej.

Przeszło tak dwa tygodnie upłynęło matce i synowi, jednak nic a nic nie zmieniło ich

bolesnego położenia, a tatarzy już zaczęli się niecierpliwić z bezskutecznego oczekiwania okupu.

Strzemski walcząc jako odważny chorąży nieraz obok Żołkiewskiego, znany był Tarnowskiemu, Zamojskiemu, Sanguszce, Sapiesze, tym świetnym wodzom tak zasłużonym swojemu krajowi; rozpisał więc listy do nich z całą ufnością, oddając im wioskę Suliszewo i całe życie swoje choćby do najlichszych posług, zaklinając tylko na wszystko, co mają najdroższego w świecie, aby mu mogli dopomódz do wykupienia matki z ciężkiej niewoli tatarskej przez złożenie dlań składki przeszło 180,000 zł. wynoszącej.

W listach Krzysztofa Strzemskiego była szczerość, serdeczność, wyrazy pełne żalu, boleści rozpaczy; zdawało się, że każde słowo, krwią z pod serca pisane, i gorzkiemi prawie oblane łzami, było świadectwem, ile cierpiał, ile walczył z nieśmiałością, zanim się ośmielił zażądać tej pomocy dla siebie.

Wojownicy ci, o ile mężni byli z orężem w boju, o tyle litości mieli w swem sercu. Listy więc Strzemskiego znalazły odgłos w ich duszy; postanowili wyrwać go i matkę z niewoli, i posłali mu 200,000 złp.

Strzemski doniósł swej matce o wspaniałomyślności bratniej, i sumie zaliczonej sposobem pożyczki zacnych ziomków. Staruszka mocniej zachorowała. Radość i niespodziewane szczęście wrócenia znów wraz z synem do swej wioski, do swego ludu, przyśpieszyły jej śmierci.

Już tatarzy, widząc zawiedzenie spodziewanej korzyści, chcieli natychmiast pogrzebać ciało zmarłej. Lecz syn błagał ich, aby mu chociaż martwe ciało matki wrócono.

Tatarzy wkońcu dali mu odpowiedź: oddamy ci trupa starej matki, lecz za okup taki sam złota, jaki za życia jej żądaliśmy od ciebie.

Krzysztof Strzemski nie cofa tej ostatniej ofiary, chociaż już dla zmarłej matki, i daje skarby złota tatarom.

Tatarzy zgarnęli złoto, zostawiając zmarłą matkę z synem już bez straży.

Ukląkł Strzemski przed tą najdroższą relikwiją serca; ucałowawszy ciało, ubrał je starannie w te szaty, co za życia matka na sobie miała, a wziąwszy na własne barki, przysiągł, że choćby o żebraczym chlebie, zwłoki te przyniesie do miejsca rodzinnego.

Co postanowił, to spełnił. Ze wsi do wsi idąc przez kraj tatarski z drogim swoim ciężarem, nie mając ani jednego grosza na podróż, ani na pokrzepienie sił, bo tak go tatarzy ogołocili, nie powstydził się wyciągnąć i dłoni.

Taką miłość synowską nawet wśród zdziczałego narodu uszanowano: znalazły się kobiety, co przeczuły to wielkie poświęcenie Strzemskiego; rzucały więc hojną ofiarę tak dalece, że już na przestrzeni kilkomilowej użebrał tyle, iż kupił sobie wózek taki, na jakim się chorzy lub kalecy po dużych miastach wożą. Złożywszy na nim ciało swej matki, ciągnął własnemi rękami aż do samej granicy Polski. Kobiety tatarskie pokazywały go swym dzieciom, mówiąc: To Lach uczciwy i dobry syn!.. pamiętajcie o nim.

Po wielu, a wielu trudach, cierpieniach i przygodach, przywiózł nareszcie ciało w granice kraju swojego. Wnet się lud o tem dowiedział, processyą odprowadzał go ze wsi do wsi, składając ofiary. Wielcy panowie, panie i najbogatsze familie w kraju wspierały go pieniędzmi, przyjaźnią i opieką.

Z taką pomocą przywiózł swą matkę do Suliszewa.

Ciało zmarłej Strzemskiej sprowadzone z niewoli tatarskiej przez syna, pochowano w grobie rodzinnym wioski. Lud niegdyś jej wierny odwiedzając często grób, cisnął się jakby do błogosławionej.

Krzysztof Strzemski przeżywszy blisko wiek cały, z wielkim żalem wszystkich spoczął w grobie obok swej matki, zostawiając po sobie niewygasłe wspomnienie, jako odważny chorąży na wojnie z tatarami, jako dobry obywatel kraju, pan dla włościan, i jako najcnotliwszy syn.

Dodać należy w końcu dla objaśnienia, że przybywszy do Suliszewa rodzinnej swej wioski, Krzysztof wziął się z całą usilnością do pracy, aby zapracować i oddać dług szlachetnym ziomkom, którzy mu rękę podali. I dopełnił tego: opłacił on część długu za życia, a po śmierci w testamencie przekazał na ten cel i wieś Suliszewo.

Wędrówka po kraju.

V.

Dokończenie o *góralach*, z opowiadań Korwica.

—

Gościnnością, ową staropolską cnotą, odznaczają się szczególniej górale pasterze. Zaledwie pokażesz się u szałasu, zaraz *baca* i *johasy* wybiegają radośni. „Witajcie! witajcie, a siądźcie, wypocznijcie,“ to są pierwsze wyrazy, pierwsze przyjęcie tych ludzi serdecznych.

Nowe życie obudza w szałasie przybycie gościa. Przynoszą, co mają najlepszego: to skopki żentycy słodkiej i kwaśnej, to mleka, séry świeże i kiszone. Proszą, ażeby nie gardzić tem, co podają, a to z taką uprzejmością i serdecznością, że musisz pokochać tych zacnych ludzi. Obsypują zaraz nasyciwszy gościa swego pytaniami: „A skąd przychodzisz? co słychać na równinach? w domu czy owiesek dochodzi? (bo to główne zboże u nich). Jak drogie życie? (zboże). A jak się podobają hole?“ Jeżeli gość oświadczy chęć zanocowania w szałasie, wtedy nie ma granic ich radości. Zaraz ścielą na ławie *cetynę*, czyli drobne gałązki świerczyny, oddają swoje gunie na pokrycie; całą noc pali się ogień, bo jeden z johasów zostawiony na straży, co raz drzewa do ogniska dokłada. Przy gościnności są nadzwyczaj pobożni: każde nabożeństwo w kościele odbywa się z nadzwyczajną uroczystością. Nauka religijna przylega im do serca i przewodniczy w życiu. Księża doznają najwyższego u nich poszanowania, lubo większa ich część są to synowie kmieci górali. Czytanie na książce mają w poważaniu wielkiem; a kto w kościele modli się na książce, tego więcej poważają. Chęć też do nauki mają wielką. Często młode parobczaki służą przez rok darmo, tylko za naukę czytania i pisania. Jeżeli który więcej się ochotny pokaże, a rodzice są zamożniejszemi, wtedy oddają go do *Podolińca* na Spiżu, do szkół Pijarskich założonych przez książąt Lubomirskich. Tam o maleńkiej zapomodze kończą nauki, trudniąc się uczeniem dzieci młodszych i wychodzą na uniwersytet do Lwowa, Pesztu lub Presburga. Prawie wszyscy poświęcają się stanowi duchownemu, i większa część księży w tutejszych górach, jak w Galicyi i w Krakowskiem, są to synowie Podhalan, uprawiających najbiedniejsze role, którzy przemysłem i ładem oszczędzili na lepsze dzieci swoich wychowanie.

Jeżeli często ujrzysz w tych górach ogromnego orła, co zawieszony na skrzydłach, przepatruje daremnie dla siebie zdobyczy, za to nigdzie naszego domowego nie zobaczysz wróbla. Orzeł przelata tylko nad *wirchami*, wróbel z nieplennej ucieka ziemi, gdzie tylko skały a trawa.

Ale czego gdzieindziej na naszej ziemi nie masz, chowają się tu w najwyższych górach *dzikie kozły*. Łowy na nich są trudne i niebezpieczne; trzeba być celnym strzelcem, i zręcznym we wdrapywanie się na skały ponad przepaście, bo jedno nieostrożne stąpnięcie, a myśliwiec znajduje śmierć w strasznej a ogromnej przepaści. Wiele godzin trzeba po ostrych kamieniach się podkradać, nim dojdzie do stanowiska, w pobliżu którego spłoszone kozły przebiegać zwykły.

Strzelcy wybierają stanowiska w skalistym grzbiecie, i tam stojąc, oczekują za kozłami, które spłoszone ze spokojnej paszy, przez ludzi umyślnie na to wysłanych, wracają na wiadome sobie *percie*. Perciami nazywają scieszki równoległe, na bokach gór wydeptane przez pasące się bydło i owce.

Wtedy kozły postraszone, z niewymowną szybkością pędzą do stromych skał, a gdy się zbliżają do strzelców na zasadzce stojących, i pierwsze padną strzały, wylęknione lotem błyskawicy zmierzają ku dobrze znanym sobie szczerbinom, dla dotarcia do odleglejszych okolic. Wtedy jeden tylko jest środek ochrony: strzelec musi upaść twarzą na ziemię czem prędzej, a kozły przeskakują go spłoszone. Mięso dzikiego kozła smaczne, a stosownie przyprawione, nie ustępuje sarninie.

Na tych samych najwyższych górach, razem z dzikim kozłem żyje *swistak*, zwierzątko osobliwe; łbem podobne do myszy, reszta ciała pokryta grubym włosem jak u niedźwiedzia. Swistakiem nazywają go górale dlatego, że głos jego ma podobieństwo do świstu. Łatwo go oswoić, ale puszczony na wolność prędko dziczeje.

W najwyższych górach robi swistak bardzo długie nory, te wyściela mchem, trawą, i tam odbywa sen zimowy.

Z końcem lata zbiera i znosi do jam swoich niemałe zapasy korzonków, a utuczony niemi, doszedłszy do nadzwyczajnej otyłości, zasypia w tem zimowem gnieździe, i dopiero z wiosną budzi się zupełnie wychudły.

Górale oczekują pory, kiedy świstak zabiera się do snu zimowego i wejdzie do nory; wtedy go jako najtłuściejszego wykopują, sadło z niego wytapiają, które drogo cenią, jako najwyborniejsze lekarstwo na wszelkie choroby.

Niedźwiedzie i wilki na tych wysokich górach nie gnieżdżą się; bo latem wszystkie lasy zaludniają pasterze, z którymi nie radzi się spotkać, w zimie zaś mrozy tęgie i wichura panuje, a do pożywienia nic nie ma. Przybywają więc z okolic węgierskich; wilk porywa owce, niedźwiedź dusi konie.

Pomimo nieplennej ziemi i ubóstwa, górale lud to wesoły i ochoczy. Byle chwila wolna od ciężkiej pracy, zaraz śpiewa i tańczy. Taniec ich różny od wszystkich innych znanych.

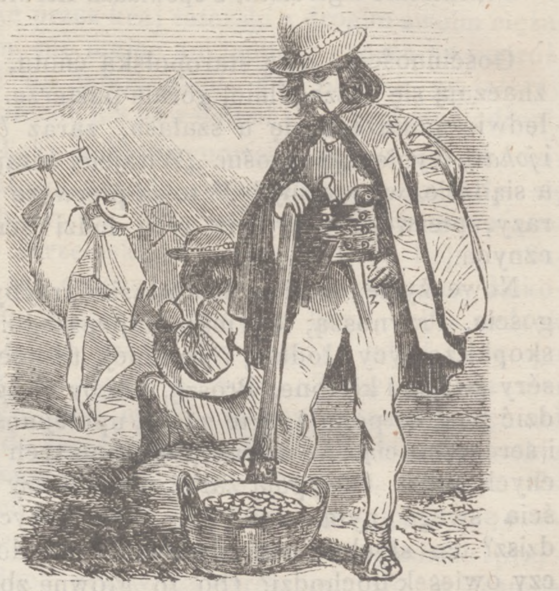
Piękny, rosły góral, w opiętych białych spodniach, zrzuciwszy gunię, występuje na środek izby i zaczyna taniec, przebierając nogami w najrozmaitszy sposób; skacze i tupie, czasem poświstuje lub wykrzykuje. Jedna albo dwoje dziewcząt, krokami drobnemi tańczą wokoło mężczyzny skaczącego na środku izby, to zbliżają się do niego, to znów oddalają, przy wtórze skrzypiec. Gdy nadejdą szybsze pociągnięcia smyczka, wtedy chłopak porywa zwinną tancerkę i wykręca ją bardzo prędko.

Zebrana gawiedź w karczmie przypatruje się tancerzom, chwalą zwinność, weselą się, lub namawiają dziewczęta do przyszłego tańca.

Taniec zbójecki różni się od góralskiego śmiesznemi skokami, a muzyką poważną i surową.

W górach tych bywało przed laty wielu zbójców; pomiędzy tymi najsławniejszy jest *Janosik*, o którym wiele opowiadają zdarzeń zarówno nasi podhalanie, jako i Słowacy w sąsiednich Tatrach.

Wszędzie po karczmach wiszą kolorowane obrazki, to jak zapędza ze swymi chłopcami Janosik stado białych wołów ogromnych węgierskich, to jak się z nimi weseli i ucztuje. Sam Janosik stoi oparty na strzelbie, ma pistolety i nóż za pasem; przed nim stoi kocieł pełny złota. Obok siedzi jeden zbójca i gra na *kobzie* (dudzie), a towarzysze jego wyskakują tańca zbójeckiego.



Rozbijał on zuchwale na Węgrach, bliższych granicy Polskiej; a gdy był przyparty, chronił się pomiędzy naszych podhalan. Powieści ich mówią, że miał dwunastu towarzyszów, takich silnych jako sam. W Tatrach pokazują górale miejsca, któremi przechodził do Węgier. W Węgrzech w miasteczku *Zwoleń*, w starym zamku zachowano jego pałkę z ciosowego drzewa, którą oburącz ledwie dźwignąć można, a on wywijał nią jedną ręką.

Nadzwyczajnie silny, przytomny w napadzie a zuchwały, trafny strzelec, był przytem biegłym tancerzem i dorodnym mężczyzną. Wspaniałego umysłu, co odbierał bogatym, rozdawał biednym. Długo mu uchodziło wszystko bezkarnie, aż jak zwykle bywa, że złe bez kary nigdy być nie może, schwytanym został w mieście *Liptowie*. Oddany pod sąd, skazanym został na szubienicę.

Górale opowiadają z rozrzewnieniem o ostatnich chwilach tego *zbójnika*. Jedni mówią, że pisał do cesarzowej Maryi Teressy; inni, że do cesarza (Józefa), przyrzekając, że pułk cały wystawi uzbrojony na wojnę; że miano mu już darować życie, ale posłaniec się opóźnił i wyrok spełnionym został.

Kiedy go wyprowadzono w mieście *Mikołaszu* pod szubienicę, Janosik palił fajkę i z ust jej nie wypuścił, aż mu stryczek gardło ścisnął.

Sami *johasi* przez długie miesiące samotnie żyjąc, nabierają pewnej ostrości charakteru; ci tedy po małem przewinieniu, a głównie po zjedzeniu barana z trzody owiec powierzonych *bacy*, obawiając się kary, uciekają z szałasu, wałęsają się po *holach*, aż wreszcie zostają zbójcami, i wtedy idą na *zbój*, jak górale wyrażają po swojemu.

Ułatwione mają te włóczęgi przez góry, gdzie łatwe niedostępne znajdują schronienie; przechodzą przez granice do Węgier, gdzie są nawet swobodniejsi.

Zwykle zbójniki odznaczają się swoją po wierzchownością, szerokim pasem skórzanym z mnóstwem sprzączek, wybitym świecącemi guzikami z piórem na kapeluszu.

Uzbrojeni, napadają szałasy, straszą, grożą, ale nic więcej złego nie robią, tylko grabią séry, a wieczorem każą zabić ze stada barana, najwyborniejszy przysmak góralski i gotują go w mleku.

Kiedy się zbójniki okażą w górach, johasi po szałasach dziwne o nich podają wiadomości; liczbę ich wielce przesadzając, wychwala ją odwagę, męztwo i zuchwałość, drżą przed ich okrucieństwem, chociaż oni zaprawdę wcale okrutnymi nie są.

Kiedy się jeden lub dwóch zbójników pokaże przed szałasem, przelękły baca i johasi, których bywa zwykle 6ciu lub 10ciu, pozwalają sobie odbierać sérki, częstują go mlekiem i żentycą i znoszą barany. Dwóch zbójników niemoże hojnej i obfitej wieczerzy spożyć; pomagają więc im tak baca jako i johasi, mając tłumaczenie następnie we wsi, że zbójnikom musieli zarznąć tyle a tyle baranów, dać mleka i sérów. To jest powód, gdzie radzi są widziani po szałasach zbójniki, którzy dzisiaj są niemal osobliwością w tych górach, lubo w podaniach góralskich i pieśniach nie mało zajmują dotąd wspomnień, i są nieraz bohaterami głównie w powieściach podhalanów.

O kretach i ich użyteczności w gospodarstwie rolnem.

—

Kret pospolity. Zwierzątko dobrze każdemu znane; długie i wałkowate jego ciało, pokryte jest miękkim, aksamitnym czarnym włosem, lubo zdarzają się, a szczególniej u nas odmiany białe i żółte. Odznacza się on szczególnym ukształceniem zębów, do którego naturalnie stosuje się budowa przyrządów trawienia.

Kret posiada 44 zębów, tak urządzonych, iż z największą dogodnością rozgniatać mogą wszelkie choćby najtwardsze owady. W każdej szczęce mieści się po 11 par zębów; trzy pierwsze w górnej i cztery w dolnej, są prawie równe tak jak u małp i zwierząt mięsożernych. Za temi widzieć się daje potężna para do kłów niejakie podobieństwo mająca, różniąca się bowiem od nich tem jedynie, że nie po jednym, ale po dwa posiada korzenie; dalej następują trzy pary małych tak zwanych fałszywych zębów trzonowych dwukorzeniowych, oddzielające następne trzy pary dużych.

Niektórzy uczeni odróżniają jeszcze *większe* i *mniejsze krety*, tych jednakże, jak również *kreta ślepego*, znajdującego się w niektórych okolicach Rossyi, nigdzie u nas nie znaleziono. Kret prócz Polski zamieszkuje całą niemal Europę; znajdować się ma także w Syberyi aż po rzekę Lenę i w północnej Afryce.

Nieszczęśliwi ci mieszkańcy podziemni są u nas przedmiotem licznych prześladowań ze strony rolników, głównie za to, że ną wierzch łąk i gruntów wytaczają małe kępy ziemi, przez co przyczyniają rolnikom nieco pracy na wiosnę. Czy tem szkodę przynoszą? W ogrodach czasami niejaką, na polach mało znaczącą, na łąkach zaś prawie żadną; możemy nawet powiedzieć, że kępy te są na nich do pewnego stopnia użyteczne: ziemia bowiem na wierzch wydobyta, po rozrzuceniu bronami zrównana, przyczynia się do wzmocnienia darni, zastępując nawożenie, które częstokroć rolnicy sami przedsiębiorą, gdy chcą łąki swoje poprawić. Ale zwykle tak się dzieje, że przez niewiadomość nie uznajemy usług najlepszych przyjaciół naszych. Wszak nie tak dawno temu tępiono zapalczywie w sąsiednich Prusach biedne wróble, za małe szkody w pszenicy zrządzone, dopóki się nie przekonano, jakie świadczą one usługi tępieniem niesłychanej liczby liszek i owadów, polom i ogrodom daleko szkodliwszych. Ze wstrętem patrzymy na żaby zwłaszcza (ropuchy) na łące lub w ogrodzie, pozwalamy tępić je lub sami nawet tępimy, gdy rozumny anglik,

sprowadza je ze stron dalekich i powierza im straż swego ogrodu przeciw niewidzialnym a licznym owadom, nieprzyjaciołom kwiatów i ogrodowizn, w zastępstwie robotników, którzyby tej czynności tak zręcznie i starannie wykonać nie zdołali. Rolnicy rozsądni winni starać się dobrze poznać obyczaje zwierząt, ptaków i gadów, które pola nasze i lasy zamieszkują, aby odróżnić szkodliwe od pożytecznych i te ostatnie opieką swą osłonić. Dotąd wszakże okazujemy w tej mierze nie tylko wiele obojętności, ale nawet uprzedzenia. Obojętnie naprzykład patrzymy na wyniszczanie drobnych ptasząt, które nam świadczą niewielkie wprawdzie usługi, ale wsparte ogromną liczbą pracowników, znakomite w skutkach swych wydają owoce. Wszak corocznie widzimy na targach małe ptaszki ujęte za szyjki w kleszcze, przez chłopców wiejskich w zimie na sprzedaż przynoszone, a nikt nie pomyślał o skarceniu tych szkodników, i położeniu tamy ich lichemu zarobkowi, który pociąga za sobą wielką stratę czasu, mało daje korzyści, a rolnictwu wielkie szkody przynosi. W istocie skutki tego nierozważnego postępowania zaczynają się już w części objawiać. Z wielu stron kraju dochodzą nas wiadomości o szkodach w zbożu przez owady zrządzonych. Wprawdzie nie przybrały one dotąd groźnych rozmiarów, ale nie należy dlatego zaniedbywać środków, służyć mogących do ich usunięcia lub przynajmniej zmniejszenia. Do tych zaś środków należy ochrona zwierząt i ptaków żywiących się owadami. Zaniedbanie w tym względzie nie bywa bezkarnem. Z Trewiru donoszą, że w okolicach tego miasta pędrak wielkie szkody zrządził w polach koniczyny, ziemniaków i zboża, podgryżając korzenie, przez co oczywiście rośliny ginąć muszą. Przypisują to głównie wyniszczeniu kretów przez włościan, którzy w niewiadomości swojej uważali je za zwierzęta szkodliwe. Tymczasem krety są najgroźniejszemi niszczycielami pędraków i innych owadów; ich mnożeniu się przeszkadzają, z każdą bowiem larwą niszczą całe pokolenie, któreby wydał owad z niej wylęgły. Należałoby więc krety oszczędzać, jako zwierzęta dla rolnictwa nader użyteczne, znosząc małe niedogodności z ich powodu pochodzące; w czasie zaś zimy pozwolić drobnym ptaszkom kilka ziarn ze sterty lub ścieszki ukradkiem uchwycić, albo trochę zboża na pniu *wypić*, jako wynagrodzenie za ich usilną pracę. Szkody tem zrządzone, będą zbyt małe w porównaniu z korzyściami, jakie rolnikowi przyniosą, zapobiegając zbytecznemu mnożeniu się szkodliwych owadów.

Różności.

Pan Józef Bejzym, marszałek powiatowy w gubernii Wołyńskiej, zamierzył w majętności swojej Bejzymach zaprowadzić rodzaj praktyki dla kształcenia się na wiejskich ekonomów. Myśl ta znalazła powszechne przyjęcie u miejscowego obywatelstwa. Idzie tylko o agronoma dobrych obyczajów i chwalebnego prowadzenia się, któryby posiadał patent na wykładanie agronomii, a przytem ażeby się zobowiązał uczyć czytać i pisać przyszłych ekonomów, których pierwotna liczba ma dochodzić 20tu; a oprócz tego 10ciu sposobiących się na parobków do gospodarki. Pan marszałek Bejzym przeznacza na doświadczenie rolnicze 40 morgów dobrej ziemi, a przytem wszelkie gospodarcze narzędzia i odpowiedni potrzebie inwentarz; zaś dla agronoma rs. 150 rocznie i dom mieszkalny z ogrodem warzywnym. Ktoby więc życzył sobie podjąć się tych obowiązków, niech się zgłosi do *Kurjera Warszawskiego* po bliższe objaśnienie, a może dotąd miejsce to zajętem nie jest.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90— kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwolona, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 11 (23) grudnia 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*